

**KSIĄŻKA I SZTUKA TEATRALNA
WŁADYSŁAWA ZAMBRZYCKIEGO
– rozmawiała Beata Sowińska**

„Kurier Polski”
nr 294 (12–13 grudnia) 1959 r.

Autora *Naszej Pani Radosnej* i *Kwaterny Bożych Pomyleńców* (Książki Miesiąca KMK), trudno spotkać na warszawskiej ulicy. Władysław Zambrzycki lubi nade wszystko rozkoszować się domową samotnością. Spędza czas w otoczeniu książek i... w towarzystwie ulubionej papużki.

– Prace pisarskie? – podejmuje nasze pytanie. – Ukończyłem właśnie książkę o 1650 r. Rzecz toczy się w Warszawie. Akcja skupia się wokół znanej podówczas oficyny księgarskiej Elerta, mieszczącej się przy ul. Świętojańskiej. Elert był drukarzem, kapelmistrzem i osobistym przyjacielem Jana Kazimierza. Książka oddaje obraz Warszawy tamtej epoki. Na arenie pojawia się cała galeria popularnych postaci, poeci – Wespazjan Kochowski, Andrzej Morsztyn, Adam Jarzębski, kanclerz koronny Jerzy Ossoliński, popularny Adamandy Kochański, który robił zegarki. Występuje tam również pewien kochliwy i pełen powabu podłotek – późniejsza Marysieńka Sobieska.

– Czy *Nasza Pani Radosna* będzie wznowiona?

– Na razie nie. Natomiast ostatnio wyszła w przekładzie węgierskim. Właśnie otrzymałem egzemplarz tej książki.

– Chodzą słuchy, że napisał Pan coś dla teatru?

– Jest to lekka, trzyaktowa komedyjka, traktująca o współcześnie oglądanym *Fircyku w zalotach* Zabłockiego. Zjawia się on między nami jako żywy kontrast dwu epok i we współczesnych, potocznych sytuacjach mówi wierszem trzynastozgłoskowym. Jego otoczenie próbuje go naśladować, co wywołuje raz po raz zabawne spięcia. Sam zresztą znakomicie bawiłem się przy pisaniu tej historyjki.

– Jest Pan jednocześnie literatem i dziennikarzem. Od czego Pan zaczął?

– Od dziennikarstwa. Początek był, notabene, dość komiczny. Miałem wówczas 19 lat (był to rok 1907) i studiowałem w Belgii. Założyliśmy tam, w grupie 20 kolegów, tygodnik, w którym zamieszczane były karykatury wszystkich szacownych miejskich burżujów. Robiliśmy z nich, mówiąc wprost, wariatów, co powodowało potworne awantury. Skończyło się tym, iż nasz tygodnik (zresztą cieszący się dużym wzięciem) zamknięto po kilkunastu numerach, ponieważ obrażeni luminarze miejscy wnieśli przeciw nam pozew do sądu. Takie były moje „zaślubiny” z dziennikarstwem.

– A debiut literacki?

– Drukowałem w „Expressie Porannym” przed wojną opowiadania w odcinkach. Po jakimś czasie Melchior Wańkowicz wziął komplet gazety i powycinał kolejne odcinki, po czym zrobił z nich książkę, a ze mnie literata. (Dodajmy od siebie: u Zambrzyckiego – cokolwiek mówi – wszystko jest na granicy żartu).

– Co stawia Pan na pierwszym miejscu: literaturę, czy dziennikarstwo?

– Uważam, że te dwie dziedziny można ze sobą doskonale „pożenić”. Dziennikarstwo mam we krwi, kiedy zaś przyjdzie mi fantazja, piszę książkę.

– A w przerwach?

– Czytam. Ale nie beletrystykę. Pasjonują mnie książki o ptakach, monografie nazwisk polskich, zbiory przysłów. Lubię także zagłębiać się w *Słownik etymologiczny* Brücknera.

– Kiedy zaś to Pana znudzi?

– Gram w szachy sam z sobą i wiodę długie dyskursy z papużką. Przechodziła, biedaczka, Heine-Medina i z żółtej stała się szara. Nazwałem ją wówczas „smoluchem”. Kiedy zabieram się do pisania, siada mi na okularach i... rozsądnie milczy.